

Myśl Polska

Redakcja i administracja:
8, Alma Terrace, Allen Street,
London, W. 8, tel. WEstern 1797
Prenumerata: półroczna 18 s lub
3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.
Opłata lotnicza do USA półrocz-
nie 1.50 dol., rocznie 3 dol.
Cena pojedynczego numeru
1/6 lub 25 c.

KTO WINNIEN TEJ BIEDZIE?

POŁOŻENIE w przemyśle polskim, decydujące o gospodarce narodowej, nie uległo poprawie i nie zapowiada dotąd zmian na lepsze. Wydajność pracy jest bardzo niska i nie podwyższa się. Płace w wielu gałęziach są poniżej minimum egzystencji, a prawie we wszystkich możliwe do uzyskania podwyżki zbyt małe, by stanowiły bodziec dla zwiększenia pracy. Instalacje przemysłowe przeważnie są przestarzałe, nie tylko instalacje przedwojenne, ale i powojenne pochodzenia sowieckiego. Ekonomisci krajowi szukają wyjścia w zmianie systemu płac. Mówi się o nim od przeszło roku, ale nie wprowadza się go. Uznano, że najpierw trzeba wprowadzić zmianę systemu zarządzania przedsiębiorstwami.

Ale zmiana systemu zarządzania napotyka od razu na tę samą trudność, przed którą beznadziejnie stają planujący zmianę systemu płac. Trudność ta to bezrobocie.

Przed wojną istniało w Polsce tzw. ukryte bezrobocie na wsi. Obliczano tych „niepotrzebnych ludzi” w rolnictwie na kilka milionów. Obecnie istnieje ukryte bezrobocie w przemyśle. Obliczają je nieoficjalnie na jedną trzecią ogółu pracowników przemysłu (zapewne ponad milion ludzi). Mówiąc obrazowo, robotę, którą mogłoby zrobić dwóch ludzi, robi trzech, wskutek czego każdy z nich zarabia tylko dwie trzecie tego, co by powinien, a to znowu sprawia, że praca jest wykonana źle i przynosi jeszcze mniejszy wynik, a więc w ostatecznym rezultacie jeszcze mniejszą płacę.

Mówi się o konieczności dużych redukcji. Aby takie redukcje były skuteczne, musiałyby istotnie być na wielką skalę. Funduszu bezrobocia nie ma, ani nie ma zasobów na jego stworzenie. Gdy w roku ubiegłym przeprowadzono redukcję aparatu państwowego i partyjnego, wywołało to wstrząs poważny, choć operacja była na bez porównania mniejszą skalę od potrzebnej redukcji w przemyśle. Sprawę dalej komplikuje przyrost naturalny. W chwili obecnej co roku wchodzi w życie gospodarcze miliony roczników młodzieży wojennej. Za cztery, mniej więcej, lata zaczną wchodzić roczniki powojenne, liczniejsze o połowę. Na większe przesunięcie ludności z przemysłu z powrotem do rolnictwa trudno liczyć, bo wprowadzić w niektórych okolicach kraju jest jeszcze miejsce na wsi, ale w innych jest przeludnienie rolnicze.

Tak wygląda błędne koło gospodarki komunistycznej. Jeżeli piszemy „komunistycznej”, to nie przez żadną demagogię, ale dlatego, że, wbrew sugestiom propagandy komunistycznej, nie jest to żadne

błędne koło gospodarki polskiej, kryzys nie wynika z zasadniczych warunków geograficznych i historycznych, ani z nieuleczalnych wad charakteru narodowego, ale z doktryny.

Jaka jest struktura zawodowa społeczeństwa polskiego? Przed wojną Polska była krajem przeważnie rolniczym. 64% czynnej zawodowo ludności pracowało w rolnictwie, 16% — w przemyśle, a 20% w usługach (komunikacja, handel i kredyt, administracja, kultura i zdrowie, wolne zawody i służba domowa). Nastąpiło duże przesunięcie (choć nie tak duże jak sobie niektórzy wyobrażają). W r. 1957 w rolnictwie pracowało 53% czynnej zawodowo ludności, w przemyśle — 27%, w usługach 20% (jak przed wojną).

Jeżeli wziąć pod uwagę ukryte bezrobocie, okaże się, że w przemyśle faktycznie zatrudnionych jest poniżej 20% czynnej zawodowo ludności. Wypływałby stąd wniosek, że procent ten od przed wojny wzrósł nieznacznie, z 16 na 20%. Jest to sprzeczne z oczywistym faktem przesunięcia dużej liczby ludności ze wsi do miast, rozbudowy ciężkiego przemysłu i uzyskania wskutek zmiany granic wielkiej ilości obiektów przemysłowych i górniczych na zachodzie. Wyjaśnienie tkwi w tym, że przedwojenna ludność przemysłowa składała się w znacznej części z rzemieślników i pracowników małych warsztatów. Te zostały zlikwidowane. Posłuży się jednym przykładem, wziętym z „Życia Warszawy” z końca marca:

„Przed wojną było w Kaliszu 2.000 warsztatów i 4.000 ludzi w nich pracujących. W 1955 r. było warsztatów 401”. Według obliczeń

miejscowych ludzi „rzemiosło kaliskie mogłoby bez wątpienia zatrudnić lekką ręką” co najmniej tylu ludzi co przed wojną. Kalisz ma 70.000 ludności. W ubiegłym roku ilość warsztatów podwoiła się, ale obecnie znowu się zamykają z powodu nowych, wręcz prohibicyjnych, podatków (100% wyższe od zeszłorocznych) i „wahań natury ogólnej”.

A w całym kraju nie ustają skargi na brak najprostszych produktów rzemieślniczych i drobno-przemysłowych. Powszechny jest także np. brak cegły.

Niewątpliwie w Polsce w rzemiośle, w warsztatach naprawczych, w drobnym przemyśle konsumpcyjnym, w nie wymagającym większych kapitałów przemyśle materiałowym budowlanych, jest miejsce dla grubych setek tysięcy ludzi, dla większości, jeśli nie całości, zbędnych w przemyśle.

Ale to tylko jedna strona struktury. Druga, to dział usług, tzw. trzeci sektor gospodarki. We Włoszech w tym sektorze pracuje 27% czynnej zawodowo ludności, w Niemczech (zachodnich) — 33%, we Francji — 35%, w Wielkiej Brytanii — 46%, w Stanach Zjednoczonych — 50%. Im bardziej uprzemysłowiony kraj, tym wyższy procent ludności pracuje nie w bezpośredniej produkcji, ale w usługach wszelkiego rodzaju. W Polsce rozwój przemysłu nie spowodował żadnego rozwoju „trzeciego sektora”. A przecież w samej tylko komunikacji, wskutek przesunięcia na zachód, o ileż gestszą ma powojenna Polska sieć kolejową, drogową i telekomunikacyjną!

Usługi prywatne (handel, przedsiębiorstwa komunikacyjne wszelkiego rodzaju, wolne zawody) znisz-

czone, a usługi państwowe — jak o tym wiemy doskonale — nie zaspakajają potrzeb ludności. Zaopatrywanie się w najcodzienniejsze towary jest nierozwiązalnym zagadnieniem, a kobieta wiejska i nowoczesny pachciarz-pośrednik od wszystkiego zwycięsko konkurują z „uspołecznionym” handlem.

W dziale usług prywatnych jest miejsce dla dalszych setek tysięcy ludzi. Ale archaiczna doktryna marksistowska powtarza za fizjokratami, że usługi są „nieprodukcyjne” a nawet niemoralne i że to zło można tolerować, podobnie jak wyrób alkoholu, tylko pod warunkiem uspołecznienia.

Polska nie jest krajem szczególnie bogatym w urodzajne gleby ani w złoża mineralne, nie ma nagromadzonych pracą pokoleń zasobów w instalacjach, budynkach, sprzętach. Ale jest krajem, który na pewno może przy rozsądnej gospodarce wyżywić i utrzymać na europejskim poziomie życia znacznie więcej niż dwadzieścia kilka milionów ludzi. Jej nieszczęście gospodarcze polega na tym, że jest ujęta, już nie w gorset, a po prostu w kaftan bezpieczeństwa doktryny komunistycznej. Może się skarżyć, ale nie może poruszyć związanymi z tytułami.

W. W.

PAMIĘTNIK ZYGmunTA WASILEWSKIEGO

W niniejszym numerze rozpoczynamy druk pamiętnika Zygmunta Wasilewskiego. Pierwszy fragment tych wspomnień znajdzie Czytelnik na środkowych stronach pisma.

Zygmunt Wasilewski był jednym z najwybitniejszych dziennikarzy i krytyków literackich pierwszej połowy dwudziestego wieku w Polsce. Urodzony nazajutrz niemal po Powstaniu Styczniowym przeżył Powstanie Warszawskie i zmarł w Wile 25 października 1948. Poświęciliśmy wówczas jego pamięci część numeru „Myśli Polskiej”.

Wspomnienia swoje Zygmunt Wasilewski spisał w ciągu tragicznej zimy 1939/1940. Później dodał jeszcze niektóre przypisy i uzupełnienia. Jakże cenne dla nas pamiętnik, to najlepiej mówi sam autor w przedmowie, którą otwieramy druk fragmentów pamiętnika. Pamięt-

nik ten jest dość długi, liczy przeszło trzysta stron maszynopisu. Autor załączył szereg fragmentów swoich sprawozdań czy refleksji, ogłaszanych po piśmie, których pierwotny druk dziś już zapewne się nie znajdzie. Życiorys Wasilewskiego posiada ogromną wartość historyczną: znajdziemy w nim zestawienia nazwisk, których nikt inny pamiętać nie może, dokumentację faktów zapomnianych przez historię, zanotowane na żywo scen, których był jedynym „artykułowanym” świadkiem.

Wspomnienia te obejmują szmat czasu. Autor dzieli je na trzy części, każda obejmuje ćwierćwiecze (1865—1890, 1890—1914, 1914—1939). Przez przeszło pół wieku Wasilewski nie wypuszcza pióra z ręki. Pisze w Łukowie i w Rapperswilu, we Lwowie i w Kijowie, ale najczęściej w Warszawie. Jest prawie cały czas w centrum wydarzeń, a zawsze w ścisłym związku z kierownictwem obozu narodowego. Jest świadkiem powstania ruchu i jego uczestnikiem aż do śmierci.

„Życiorys” Wasilewskiego ma jednak nie tylko historyczną wartość, ma on wielkie walory artystyczne. Nie będziemy o nich pisać — odsyłamy do tekstu. Tekst ten jest najzupełniej bezpretensjonalny, pisany językiem prostym jak gawęda przy stole rodzinnym, ale przez tę prostotę przebiega nie tylko wielka wrażliwość artystyczna, przebiega poezja, formując czasem najprostszemu zdaniu w niepowtarzalny rytm.

Pamiętnik Wasilewskiego leżał w ukryciu przez kilka lat. W tej chwili oryginał znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, kopia dotarła do nas.

Uważamy za wielki przywilej możliwość zapoznania czytelników polskich, rozsiadanych po całym świecie, z tym skromnym w założeniu życiorysem, który, naszym zdaniem, pozostanie na trwałe w polskiej literaturze pamiętnikarskiej.

Ogłoszony dziś fragment obejmuje wspomnienia o domu rodzinnym. Dalej przyjdą wspomnienia szkolne i uniwersyteckie, czasy „Głosu” i Rapperswilu, potem lata lwowskie...

Autor nadał swoim wspomnieniom tytuł: „Zygmunt Wasilewski. Życiorys. 1865—1939”. Podtytuł części pierwszej brzmi: „Miejsce życia początki”, drugiej — „Wiek męski”, trzeciej „Do końca”.

CO SŁYCHAĆ...

W MOSKWIE

Po powrocie do jedynowładztwa w Sowietach zaczęło się „przywracanie dyscypliny socjalistycznej” w całym imperium komunistycznym. Najpierw Chruszczow w Budapeszcie zapowiedział bez obłonek interwencję zbrojną sowiecką w każdym kraju „zaprzężonym”, gdzie pokazałby głowę hydra „kontrewolucji”. Potem poszło uderzenie w Tity. Delegacja partii komunistycznych na kongres Partii jugosłowiańskiej w Lublanie została odwołana. Była to też swego rodzaju próba karności. Aż do tej daty, na przykład, w prasie polskiej można było czytać pochlebne reportaże i artykuły o Jugosławii i jej polityce. Delegacja kom-polska ochoczo przyjęła zaproszenie do Lublany. A potem na jeden telefon z Moskwy trzeba było zmienić „światopogląd”.

Nie ob było się bez bezpośrednich pogroźek pod adresem Polaków. Z okazji trzynastolecia „sojuszu” sowiecko-polskiego przybyła do Warszawy delegacja sowiecka w osobach starego marszałka Woroszyłowa i towarzyski Furcew. Ta przypominała Polakom w swoim przemówieniu, że Sowiety w każdej chwili gotowe są popieścić Polskę z „pomocą”, gdyby ktokolwiek usiłował mieszać się do wewnętrznych stosunków polskich. Przez „kogośkolwiek” niewątpliwie należy w tym wypadku rozumieć przede wszystkim naród polski.

Z tej samej okazji na przyjęciu w ambasadzie polskiej w Moskwie Chruszczow sam wystąpił bardziej „dyplomatycznie”. Narugawszy obecnych przedstawicieli dyplomatycznych Zachodu („potrafimy pluć dalej niż wy, panie Thompson”), ostrzegł bardzo stanowczo Polaków, żeby nie dali się uwodzić zachodnim „diabłom”. Był to niewątpliwie nie popis pijacki, ale zamierzony pokaz władzy nad Polską w oczach zgromadzonych.

W ORKIESTRZE

W tej samej mowie Chruszczow postanowił odeprzeć zarzut jakoby w Rosji szerzył się antysemityzm i jakoby on sam nie lubił Żydów. Użył w tym celu bardzo prostego i efektownego argumentu: „Połowa członków prezydium komitetu centralnego partii ma żony Żydówki”. Argument ten jest przykładem niezrozumienia psychologii Zachodu. Przypomina on żywo rozmowę, jaka odbyła się przed paru laty w Paryżu. Przyjechała tam

orkiestra symfoniczna z Moskwy. W rozmowie z dyrygentem muzyki francuscy zaczęli się dopytywać o antysemityzm w Sowietach. Dyrygent oburzył się: „Jaki antysemityzm? Ja mam w swojej orkiestrze 33 procent Żydów”. „Widzi pan — odpowiedział na to jeden z Francuzów — na tym polega różnica między nami, że ja nie wiem jaki jest procent Żydów w mojej orkiestrze”.

W LONDYNIE

Wybory samorządowe w Anglii potwierdziły w pełni wyniki wyborów uzupełniających do parlamentu. Konserwatyści tracą grunt pod nogami. Powód tego przesunięcia opinii — i tu niesopsób nie pochwalili działania brytyjskiego systemu politycznego — leży głównie w złym „record” rządów konserwatywnych od czasu ustąpienia Churchilla. Na dobro tych rządów zapisać można jedno: utrzymanie międzynarodowego kursu funta szterlinga. Rząd nie potrafił natomiast zahamować inflacji, a w dziedzinie polityki zagranicznej, gdzie z natury rzeczy powinien by gorować nad polityczną konkurencją, odpowiedziami jest za Suez, Cypr, ostatnio nawet Malte. Anglicy sądzą swoje partie nie po programach, ale po wynikach administracji.

Do tego zasadniczego względu przyłączają się dwa inne. Po pierwsze recesja amerykańska budzi nastroj niepokoju, a drobne nawet objawy bezrobocia przywołują na pamięć dramat lat trzydziestych. Ludzie boją się, że rząd konserwatywny, broniąc interesów przemysłu, nie zrobi wszystkiego by zapobiec bezrobociu, a mają nadzieję, że rząd labourystowski ciężar ewentualnego kryzysu przerzuci na barki warstw zamożniejszych. Drugim względem jest strach przed trzecią wojną światową i bliżej nieokreślona nadzieja, że pod rządami lewicy Anglii łatwiej będzie odegrać rolę „trzeciej siły” łagodzącej napięcie między Moskwą a Waszyngtonem.

W przewidywaniu przyszłego zwycięstwa wyborczego Partia Pracy stara się jednak za czasu uspokoić Amerykanów. Kandydat na ministra spraw zagranicznych, Aneurin Bevan (historycy przyszłości mogą mieć kłopot ze starannym odróżnianiem dwóch robotników—ministrów spraw zagranicznych: Ernle Bevana i Nye Bevana) w wywiadzie udzielonym amerykańskiej telewizji zapewnił o wierno-

ści dla sojuszu amerykańskiego; skarżył się tylko, że Amerykanie traktują Anglików jak satelitów, a Anglicy uważają się za partnerów. Z tym satelitą to pewna przesada. Nie słyszelśmy na przykład, żeby Eisenhower zapowiadał „pomoc” zbrojną amerykańską przeciwko wtrącaniu się Sowietów, choćby w postaci kampanii pacyfistycznej, w sprawy angielskie. Brytania jest partnerem Ameryki. Ale od dawna już jest to „junior partnership” i na to nie ma rady. W gruncie rzeczy rząd labourystowski nie będzie mógł prowadzić polityki zagranicznej bardzo różnej od polityki rządu konserwatywnego.

W WARSZAWIE

Repatriacja Polaków ze wschodu trwa. Dziennie przekracza granicę około 250 osób. Niestety jest to w małym tylko mierzcie repatriacja w ścisłym tego słowa znaczeniu, to znaczy powrót wywiezionych do Rosji. Dzieciwie dziesiątych przybyszów pochodzi z polskich ziem wschodnich.

Według danych ogłoszonych ostatnio w prasie krajowej dwie trzecie przybyłych w zeszłym roku osiedliło się w miastach. Pozostała jedna trzecia zrobiła komunistom zawód. Wedle planu w państwowych gospodarstwach rolnych miało osiedlić blisko 4 tysiące rodzin. Osiedliło tylko kilka set. Natomiast w indywidualnych gospodarstwach rolnych, zamiast przewidzianych 3 tysięcy rodzin, osiedliło się blisko pięć.

TRZECI MAJA

Na dzień Trzeciego Maja naczelna organizacja oświatowa polska na emigracji — Polska Macierz Szkolna — wydała odezwę treści następującej:

Święto narodowe 3 Maja — maj miesiąc emigracji polskiej — oby te hasła nie stawały się pustymi dźwiękami, oby poruszyły serca i umysły Polaków, gdziekolwiek na świecie losy ich rozrzuściły. Stanowimy wszyscy, na emigracji, poważną cząstkę Narodu. Mamy głębokie poczucie związków z Narodem oraz silną wolę pozostania w zasięgu polskiej kultury.

Wychowanie ojczyste młodego pokolenia emigracyjnego jest naczelnym zadaniem, od którego wykonania zależy będzie utrzymanie świadomości narodowej emigracji i udziału jej w dobrach polskiej kultury. Pielęgnowanie tradycji polskiego domu rodzinnego, wściepanie zasad religijnych, przestrzeganie zwyczajów i obyczajów narodowych, nauczanie o Polsce po polsku jest warunkiem polskości naszych dzieci i warunkiem przynależności skupień emigracyjnych do wielkiej polskiej rodziny narodowej. Kraj oczekuje naszej pomocy. Pomoc ta przede wszystkim polegać winna na przygotowaniu dla celów narodowych nowych, zdrowych sił rosnących na obczyźnie, ale prawdziwie polskiego młodego pokolenia emigracyjnego.

Polska Macierz Szkolna — organizacja walki o polskości młodego pokolenia na emigracji — gorąco apeluje do wszystkich organizacji i do wszystkich Polaków w wolnym świecie: Organizujemy w maju Miesiące Oświaty Polskiej na obczyźnie. Niechaj Święto Narodowe

(Dokończenie na str. 2)

MATERIAŁY, ŻYWNOSĆ LEKARSTWA do KRAJU

WYŚLESZ NAJKORZYSTNIEJ PRZEZ

P.C. STORES

STEFAN BREWKA

18, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S. W. 7

Cennik, zawierający ponad 700 pozycji, wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

OWSZEM, SKONFRONTUJMY...

„Wydaje się pożyteczne skorzystać z tej okazji, by raz jeszcze skonfrontować założenia „ruchu narodowego” z rzeczywistością“.

Zygmunt Zaremba

Rację ma p. Z. Zaremba pisząc w paryskim „Świetle”, że „ogromnie rzadkie są w publicystyce emigracyjnej wypowiedzi usiłujące pogłębić i uaktualnić treść ideologiczną naszych kierunków politycznych”. Jest to dla niego uzasadnieniem do napisania artykułu polemicznego z zamieszczonym na naszych łamach (15 grudnia) szkicem dra T. Bieleckiego „Rodowód i rozkwit idei narodowej” („Światło” 3/58, „Rodowód i perspektywy nacjonalizmu”). Ten sam motyw rzadkości okazji skłania i nas do zajęcia się krytyką Z. Zaremby.

Artykuł jego jest z różnych punktów widzenia interesujący. Zawiera co prawda parę chwytów demagogicznych, które nie podnoszą jego poziomu, ale rozumiemy, że Działacz Robotniczy piszący o Wrogu Klasowym musi zachować marksowsy wyraz twarzy, i do chwytów tych nie będziemy powracali. Ześrodkujemy naszą uwagę na problemach istotnie ważnych, to znaczy na konfrontacji podstaw ideowych i politycznych.

Krytyka Zaremby sprowadza się do czterech tez: że Bielecki uzurpuje dla obozu narodowego zasługę przekształcenia społeczeństwa polskiego w nowoczesny naród polityczny; że polski ruch narodowy ma burżuazyjną treść klasową; że nacjonalizm zawsze grozi przekształceniem się w faszyzm; że młode nacjonalizmy są narzędziem komunizmu jak stare są narzędziem kapitalizmu. Rozpatrzmy te punkty po kolei.

„UZURPACJA”

„Więź narodowa polska istniała — pisze Zaremba — zanim powstały współczesne kierunki polityczne. Można więc mówić o pogłębieniu tej więzi w procesach rozwojowych XIX i XX wieku, ale nie o przerobieniu rzekomo nienarodowych warstw społecznych w jednolity naród. W procesie tym trudno nawet wyważyć, który z prądów ideowych większą odegrał rolę”.

Oczywiście, że więź narodowa polska istniała od wieków, jeżeli przez więź tę rozumiemy wspólnotę wiary, języka i obyczajów na określonym terytorium. Ale jakież był na przykład polityczny wyraz tej więzi między chłopstwem z jednej strony a ziemiaństwem i mieszczaństwem z drugiej w roku 1846 czy nawet 1863? Czy masa ludowa poczuwała się do przynależności do tej politycznej wspólnoty jaką stanowiła Polska? Grupa etniczna to jeszcze nie jest naród.

Żeby uczynić myśl naszą jak najjaśniejszą dla ludzi o formacji socjalistycznej, sięgnijmy do analogii. Istnienie ludności najemnej nie oznacza jeszcze istnienia klasy robotniczej. To wyraźnie stwierdza Marx. Uczy on, że dla powstania klasy robotniczej konieczne jest jej zorganizowanie się polityczne i wyrobienie świadomości klasowej. Ta świadomość nie ogarnia od razu wszystkich robotników. Powstać musi najpierw awangarda klasy robotniczej w postaci partii klasowej.

Pozostawiając na razie na boku sprawę słuszności tej teorii w odniesieniu do świadomości klasowej, stwierdzić trzeba, że pasuje ona do świadomości narodowej. Świadomość polityczna narodu w początkach obejmuje zazwyczaj bardzo wąską grupę: otoczenie jakiejś dynastii w stosunkach plemiennych, lub grupę inteligentów w stosunkach kolonialnych. W Polsce piastowskiej była to grupa możnowładców, w Indiach zeszłego stulecia grupa założycieli Kongresu Indyjskiego. W Polsce przedrozbirowej świadomość polityczna obejmowała szlachtę i mieszczaństwo polskiego pochodzenia. W pierwszej połowie XIX wieku lud w swojej masie tylko potencjalnie należał do narodu polskiego. Świadomością narodową, poczuciem współodpowiedzialności za los narodu, została ta masa objęta dopiero w końcu XIX i na początku XX wieku.

Bielecki nie powiedział, że ruch narodowy ma wyłączną zasługę w rozbudzeniu świadomości narodowej mas ludowych. Ale kiedy Zaremba pisze, że „trudno nawet wyważyć, który z prądów ideowych większą odegrał rolę”, to wykazuje skłonność do zbyt daleko idącego agnostycyzmu. Ruch demokratyczno-narodowy postawił sobie za naczelny i pierwszy cel to własne zadanie: uświadomienie politycznej całości masy narodowej. Przez parę dziesiątków lat tysiące ludzi, znanych i nieznanymi, dokonało w związku z tym ruchem olbrzymiej, szarej pracy oświatowej, politycznej, samorządowej, publicystycznej, organizacyjnej, we wszystkich trzech zaborach. Praca ta wciągnęła do współudziału w życiu politycznym nowe kręgi społeczne. Tymczasem ruch socjalistyczny za swoje zadanie uważał budzenie świadomości klasowej. Jeżeli z faktu organizowania robotników do walki klasowej wynikało także pogłębienie ich świadomości narodowej, to był to produkt uboczny i bynajmniej nie powszechny.

„TREŚĆ KLASOWA”

P. Zaremba, zgodnie ze swoją ideologią, usiłuje określić treść klasową ruchu narodowego polskiego, uważa on bowiem, że „od konkretnych a różniących się między sobą interesów poszczególnych klas narodu nie da się oderwać ani ideologii ani wypływającej z niej polityki”.

Sprawa byłaby łatwa, gdyby można było powiedzieć: oboz narodowy był ruchem ziemiańsko-mieszczańskim. Ale wiadomo, że większość członków Stronnictwa Narodowego przed wojną stanowili chłopci, że stronnictwo to zdobywało większość głosów w robotniczej Łodzi, że ziemianie, przemysłowcy i kupcy stanowili w nim drobny ułamek członków. Trzeba więc sięgnąć do marksistowskiej teorii „masek”. „Ponadklasowość” ruchu narodowego jest maską, która zwołuje większość jego członków, ale w rzeczywistości służy on interesom „możnych tego świata”, bo „obóz narodowy był zawsze po stronie kapitalistów i obszarników”. Na to ma Zaremba dwa dowody oczywiste: „ustawodawstwo robotnicze w Polsce zostało zrealizowane wbrew głosom obozu narodowego, reforma rolna była przez obóz narodowy bezwzględnie zwalczana”. „Endecy” w Poznaniu przejęli i rozwinęli system ubezpieczeń pruskich, przeciwni natomiast byli formie, jaką ubezpieczeniom nadawała projektowana ustawa. Kto miał przed wojną nieszczeście być bezrobotnym albo leczyc się poważnie w Kasie Chorych, wie jak niezadarna i nieefektywna to była maszyna. Tym bardziej nieścisłe jest, by reforma rolna była przez obóz narodowy bezwzględnie zwalczana. Związek Ludowo-Narodowy bynajmniej nie zwalczał reformy rolnej, zwalczał tylko niektóre z proponowanych przepisów (np. sztywne ustalenie maksimum ziemi nie podlegającej parcelacji). Czy obie te ustawy w postaci, w jakiej zostały uchwalone, były wielkim dobrem dla robotników i chłopów, można by dyskutować. W każdym razie te dwa głosowania jak na dowód „treści klasowej” na przeszerzeni półwiecza to trochę mało.

Warto się tutaj zastanowić nad zagadnieniem szerszym: czy każdy ruch polityczny musi mieć treść klasową. Nie ulega wątpliwości, że interes osobisty wpływa bardzo poważnie na poglądy człowieka. Wpływa na nie także pochodzenie z określonego środowiska społecznego. Ale czy wpływa decydująco? I czy zawsze? Ani Marx ani Engels ani Limanowski ani Daszyński ani Niedziałkowski ani znakomita większość twórców i przywódców europejskich ruchów socjalistycznych nie była pochodzenia robotniczego. Pochodzenie i wychowanie wpływa na poglądy człowieka, ale ich nie determinuje.

P. Zaremba zdaje się nie twierdzić czegoś przeciwnego, ale twierdzi, że „kierunki ideologiczne wyrażają odrębność interesów i pragnień poszczególnych grup ukształtowanych w łonie narodu”, przy czym z dalszych jego wywodów wynika, że chodzi o grupy ekonomiczno-społeczne. Teza ta łączy w sobie trzy elementy: ekonomiczny, socjologiczny i polityczny.

Przynależność do tej samej kategorii ekonomicznej, czyli pełnienie tej samej funkcji w procesie produkcyjnym, nie tworzy bynajmniej jeszcze grupy nie tylko politycznej, ale nawet socjologicznej. (W Polsce np. drobna szlachta i chłopci stanowili dwie różne grupy społeczne, choć ich funkcja ekonomiczna była identyczna). Tworzy najwyżej tło do powstania takiej grupy. W Europie, gdzie przez wieki istniał podział prawno-polityczny na stany, wytworzyło się poczucie odrębności i solidarności stanowej. Na tym starym poczuciu odrębności stanowej socjalizm bazował świadomość klasową. W Ameryce, gdzie nie było tej przeszłości stanowej, nie powstało poczucie odrębności klasowej, mimo, że różnice ekonomiczne były większe niż w wielu krajach europejskich. Rewolucja socjalistyczna, wbrew teorii marksistowskiej, nie nastąpiła w krajach licznego i zorganizowanego proletariatu, nastąpiła natomiast w krajach najbardziej zacofanych gospodarczo, posiadających najsłabszą warstwę robotniczą, w Rosji i Chinach. Stało się tak dlatego, że w tych krajach była największa socjologiczna przepaść między warstwami, największe poczucie obcości. Grupa socjologiczna, to nie jest grupa ekonomiczna, grupa wspólnych interesów, lecz grupa wspólnych a odrębnych obyczajów.

W polityce grupy ściśle ekonomiczne, to jest grupy interesów: przedsiębiorców i pracowników, producentów i konsumentów, przemysłu i rolnictwa itd., występują nie w postaci ruchów politycznych, dla których nie dają dostatecznej podstawy ideowej, ale w postaci tzw. pressure groups czy groupements l'intérêts, czy to poza partiami czy wewnątrz partii.

Grupa socjologiczna nie musi wyrażać na podłożu ekonomicznym. W Stanach Zjednoczonych grupy socjologiczne mają podłoże rasowe (jak Murzyni, Portorykańczycy czy Meksykanie) lub narodowe (jak Włosi czy Polacy). W Indiach grupy socjologiczne mają podłoże religijne. W przedwojennej Polsce drobnomieszczaństwo polskie i drobnomieszcza-

stwo żydowskie stanowiły dwie odrębne grupy socjologiczne.

Teoria marksistowska nie jest tak uniwersalistyczna, za jaką chciałaby się przedstawić. Jest oparta wyłącznie na pojęciach i doświadczeniach zachodnio-europejskich. W Europie zachodniej granice państwowe są stałe, byt narodów nie zagrożony przez zabobnych sąsiadów, ogół ludności stopiony w jeden naród, zasadnicze ramy życia państwowego i kulturalnego ustalone. W tych warunkach na pierwszy plan wybija się podział narodu na grupy socjologiczne, na warstwy społeczne. Dla narodu polskiego, którego byt państwowy jest od wieków zagrożony lub przekreślony, którego sam byt etniczny stawia, bywa pod znakiem zapytania, na plan pierwszy mogą wysuwać się zgola inne podziały. Tak w okresie pierwszej wojny światowej najistotniejszy był podział wedle zagadnienia: czy iść przeciw Niemcom czy przeciw Rosji, potem: czy tworzyć federację wschodnią czy państwo narodowe. Czy można wytłumaczyć Piłsudskiego i sanację w kategoriach czysto socjologicznych? Jako dyktaturę tzw. inteligencji? Ale wprowadzenie pojęcia inteligencji jako odrębnej klasy może nas doprowadzić do niebezpiecznego wniosku, że np. ruchy socjalistyczne były maskami dla interesów tej klasy.

„Interesy i pragnienia” grup społecznych, także grup socjologicznych (warstw, klas) zabarwiają politykę, wpływają na programy i metody stronnictw, ale ich nie determinują. Twierdzenie na przykład, że tylko ruch socjalistyczny reprezentuje „interesy polskich warstw pracujących” byłoby wejściem w ten „krąg uzurpacji i monopolów”, przed którym krytyk Bielecki tak przestrzega swoich czytelników.

„NACJONALIZM I FASZYZM”

P. Zaremba polemizując z rozróżnieniem przeprowadzonym przez Bieleckiego między polską ideą narodową a innymi nacjonalizmami twierdzi, że różnice między polską ideą narodową a faszyzmem „są to różnice między dziećmi jednej matki”. Nie kłómy się o matkę, ale kto był ojcem faszyzmu? Socjalizm. Nie tylko dlatego, że Mussolini był socjalistą, ale dlatego, że faszyzm (w międzynarodowym, nie tylko włoskim, tego słowa znaczeniu) był zastosowaniem socjalistycznych pojęć walki wewnętrznej i socjalistycznych metod organizacji politycznej, był reakcją na komunizm, chęcią zastosowania „zdołanego” socjalizmu totalistycznego do zorganizowania społeczeństwa, i do walki z

(Dokończenie na str. 4-jej)

charakterystyczne dla ludzi wychowanych w jego czasach w Warszawie.

Jako urzędnik ojciec należeć musiał do sfery ludzi politycznie neutralnych wobec wypadków. Jednak ze zgrozą oglądałem na łysinie ojca pręgę, jaką zostawiła nahajka czołaka, użyta w czasie powstania podczas rewizji, a tych, że względu na ruchy powstające w lasach świętokrzyskich, było wiele. Pamiętam też długo w wieczór trwające, przy sposobności poufnej, opowiadania o wydarzeniach tych czasów.

Matka górowała nad ojcem żywością umysłu, dowcipem, wykształceniem humanistyczno-literackim, znajomością języka francuskiego oraz i tym bogactwem, jakie jej dawał świat muzyki. Ojciec był zupełnie niemuzyczny i to po nim odziedziczyłem. Daremnie matka zmuszała mnie do fortepianu; podziwiałem, jak ze starszą siostrą mogły grały na cztery ręce na jednej klawiaturze. Nie mogłem jednak powiedzieć, żeby muzyka nie robiła na mnie żadnego wrażenia, zwłaszcza ulubiony przez matkę Chopin działał na mnie fizycznie, zlewając się harmonijnie z urokami przyrody, których przecież tak samo sobie nie uświadamiałem. Chopinowskie melodie przez otwarte okna szły za mną na ogród i jeszcze w zbożu za ogrodem mnie doganiały.

Siostry matki, Aniela i Joanna, ściągły za rodzicami w te strony. Aniela wyszła za wdowca Wincentego Milewskiego, który za męgo dzieciństwa wczesnego był podłusnym u ojca w Świślinie. Wkrótce jednak umarł. Ciotka Aniela z jedną z jego córek, Stefanią, i z siostrą swoją młodszą, Joanną, oparły się o Siekiernę. Ojciec osadził je pod lasem w domku gajowego. Biegało się tam do nich słiznymi łgami. Miały jakieś fundusze po ojcu, bo niebawem przy mego ojca pomocy zbudowały sobie dom w Suchedniowie koło słynnej szkoły dla panien (pani Peckowej) i tam się przeniosły.

Tu Wasilewski powtarza opublikowane przez siebie w r. 1928 wspom-

nienie o młodszej ciotce, Joannie Ledoux, malarce obrazów religijnych i nauczycielce rysunków, uczennicy Hadziewicza, po czym dodaje:

Jako uzupełnienie powyższych wspomnień doszła mi potem z tradycji rodzinnych wiadomość, że z Hadziewiczem łączyła Joannę Ledoux głęboka miłość i że ich związkowi małżeńskiemu stanął na przeszkodzie towianizm Hadziewicza. Jakie wpływy odegrały tu rolę, może własna Joanny prawomyślność religijna, o tym nie wiem. Widocznie jednak miłość w jej sercu nie wygasła i ona tłumaczy tajemnicę, którą ciotka Joanna w moich oczach była otoczona.

Pamiętam, ciotki (gdym u nich gościł) zabrały mnie do Kielc. Byłem z nimi w domu pp. Jarońskich. Podczas gdy one z Feliksem Jarońskim (muzykiem) w mieszkaniu konferowały, ja wypuszczony do pięknego sadu na krzakach malin gospodarowałem. Było to w czasie, gdy ciotka malowała mój portret, a więc około r. 1872. Tajemniczy też był dla mnie przyjazd do Siekierny, specjalnie do ciotki Joanny, słynnego wówczas malarza (ilustratora „Tygodnika”) p. Tegazzo. Upamiętniło mi się, że ciotka Joanna, zwykłe tak przysięgała, dziwnie była tak wizyta podniecona. Byliśmy razem na gorze Kamiennej, gdzie był wielki jak dom kamień. Roztaczał się stąd rozległy widok z bielejącymi w słońcu ruinami zamku w Bodzentynie. „To dla pejzażu za rozległe” — mówił Tegazzo. Dziwnie pamięta się niektóre powiedzenia, ale dziwniejsze, że pamięta się nastroje, które dzięki nim udzielały się od bliźnich.

W ciotce Zaniecie — takie zostało mi wrażenie — wszyscy się kochali. Kochały jak kwiaty, które malowała, święci, którym dawała natchnione oblicza, kochał się w niej ks. kanonik Lipiński... Opowiadała mi siostrzenica Zajackowska, że kiedy w roku 1904 była u moich rodziców w Suchedniowie z racji ich złotych godów, była świadkiem zabawnej ich rozmowy. Staryszkowie złożeni niemocą, na pół bezwładni, leżeli w swoich łóż-

kach jak w szpitalu i tak rozmawiali: — Ja wiem, Olesiecku, że ty nie we mnie się kochałeś, ale w Zańci... — Moja Maryniecuku, nie mów takich rzeczy...

— Ale ja wiem na pewno, Olesiecku, o ja nieszcześliwa...

Nie była nieszcześliwa. Widzę ich oboje w obłoku wspomnień, zawsze z sobą szczęśliwych. Ale to pewne, że coś musiało być w sercu ojca, gdy taką opieką siostry swej żony otaczał. I ja, wplatając w wspomnienia przydługie do swego życiorysu, powoduję się miłością, bo chciałbym, aby imię Zanety Ledoux, znalezione na jej obrazach, nie było dla historii sztuki tajemnicą.

Jakich ludzi, poza rodziną, widywałem? Jak wyglądało szersze środowisko w moim widnokręgu?

Stosunki z ludem wiejskim były dobre, pomimo że ojciec, strzegący lasów od kradzieży (defraudacji), służył bawo był surowy i w ciągłej młodości pozostawał walce z pojęciami ludu, który lasy rządowe uważał za własność wspólna. Dom nasz otoczony był szacunkiem, moja osobistość cieszyła się we wsi sympatią. Do obowiazków oświatowych nikt wówczas we dworze nie poczuwał się, o polityce się nie mówiło, ale stosunki prywatne oparte były na przyjaźni i obustronnych przysługach: matka leczyła chorych, sąsiedzi pomagali w czasie żniw. Największe zgromadzenie siekierzan widywałem w Wielką Sobotę, gdy znoszono dary stołu świętego do poświęcenia. Ukazywały się wówczas w branie podwórzka kasztany księdza kanonika Lipińskiego.

Ksiądz Lipiński był jednym z najczystszych naszych gości. Grywał z ojcem w preferansę. Co niedziela odwiedzaliśmy jego i siostrę, Zuzannę, we Wzdole, gdzie po nabożeństwie podejmowano nas przekąską na plebanii. Spotykaliśmy go często w Suchedniowie u ciotek, łączyła bowiem księdza z ciotką Zanetą serdeczna przyjaźń. Ksiądz tę zażyłość manifestował, ale nigdy nie słyszałem nikogo, kto by rzucał na ten stosunek podejrzenie, że to była miłość zdro-

na. Po śmierci ciotki Zanety długo w całym dekanacie (ks. Lipiński był dziekanem) o pewnej porze dzwoniło po kościołach żałobną o niej pamiąg.

Ksiądz Lipiński był zawsze młody, choć zawsze siwy; srebrne miał włosy, kędzierzawe, oczy roześmiane, policzki różowe.

Dziwna rzecz, że w tej pięknej okolicy rzadkością był człowiek posepny. W sąsiednim Bodzentynie proboszczem był ksiądz Chłuda. Ten olbrzym niezmiernie tuszy zawsze się śmiał bezzębny usty. Jadł za dziesięciu i z tego głównie był słynny. Zazywał tabakę, śmiał się i kichał z hałasem, nos wycierał czerwona chustką. W razie niestrawności zjadał półmisek kaszy jęczmiennej, zalanej suto olejem rybnym. Był to dla mnie, dziecka, szczytowy punkt niewiarogodnej legendy. Bo czy podobna być wesołym, myśląc o takiej potrawie? Byłem już starszy, kiedy poznałem wikarego księdza Chłudy, ks. Radomskiego. Ten miły, drobny, młody ksiądzulek miał ambicję rozweselać towarzystwo komiką gestu i żartu. Gdzie się pokazał, wybuchi śmiechu nie ustawały.

Jedyny dwór ziemiański był o parę kilometrów od nas w Sieradowicach. Siedział tam na dziedziawie (był to majątek po-duchowny, oddany jakimś generałowi rosyjskiemu) Xawery Zalewski, ożeniony już jako wdowiec z młodszą znacznie od siebie panną Turską. Człowiek bardzo za-możny, mający kilka majątków. We dworze dobudował salę balową, aby żona się bawiła. A bale były huczne, tańczono noc i dzień. Wino sprowadzało się beczkami z Węgier. Hulalo tam całe Świętokrzyskie i Sandomierskie. Byłem z rodzicami (jako uczeń) na takim balu. Stąd wyniosłem pojęcie, co to jest dwór wielki. Była to sensacja w domu naszym, kiedy pani Zalewska zajeżdżała czwórka powozem z rewizją.

Z Kazimierzem Zalewskim ośmioletni mieszkałem potem na jednej stancji w Kielcach. Był to syn z pierwszego małżeństwa. Z drugiego małżeństwa pierwszy syn dostał imię

Zygmunta podobno z tą intencją, żeby się tak udal jak ja (!).

Najczęstszymi gośćmi w naszym domu byli podłusni, zjeżdżający się z raportami i po pensję do ojca. Bywali więc na obiedzie: Gumiński z Gozdu, Rajzacher z Majkowa, Szram ze Świśliny, Skórski ze Wzorek, Krzyżanowski z Michniowa. Rozmowy towarzyskie bywały długie, ale interesujące specjalnie leśników. Na ogół atmosfery literackiej nie było. Matka daremnie czyniła próby interesowania gości tematami ogólniejszymi.

Widywałem też w naszym domu Rosjan, ale bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy przybywali w interesach służbowych. Oczywiście, jak to na wsi, siadywali z nami do stołu. Ojciec z trudem porozumiewał się po rosyjsku, matka nie umiała wymówić ani słowa. Rosjanie starali się zresztą mówić po polsku. Pamiętam tylko raz jakiegoś rewizora który mnie roześmiał, gdy wszedłszy do pokoju matki usiadł na łóżku zasłanym poduszkami, aż zginął między nimi. Na pytanie: „kawy czy herbaty” (bo to było rano) odpowiedział: „i kawy i herbaty”.

Do uroczystych odwiedzin należała urzędowa wizyta prezesa Okręgowej Izby Skarbowej (Kazionnoy Palaty), Rzepiszewskiego, Rosjanina dobrze już spolszczonego i cywilizowanego, słynnego z pięknej brody. Występowało wtedy na obiedzie wino.

Kultura przeciętnego Rosjanina ówczesnego była wyższa niż dzisiaj. Rozmawiano z łatwością po polsku i francusku, a zdardał się urzędnicy z wysokim wykształceniem muzycznym. Opowiadano mi, że w r. 1884 (byłem wtedy w szkole) prezes zarządu dóbr państwowych Apsietow, przybywszy do Siekierny w sprawach nowej reformy leśnictwa, bawił cały tydzień, ale nie zaglądał do kancelarii, wiedząc bowiem o muzyczności matki przywiozł z sobą cały plik nowych wydawnictw muzycznych, nalegał na ich wykonanie i dekletował się.

O tym, jaki był właściwy stosunek kraju do obcego państwa, że nie był on tak zabawny, jak mnie się wówczas wydawało, dowiedział się mogłem dopiero w szkołach. (D.c.n.)

